

PRZESTRZEŃ KOŚCIOŁA

Owoc stawał się nasieniem, ono zaś dojrzałe, w następnym pokoleniu stawało się owocem.

Zaczynam ten felieton w dzień apostołów Piotra i Pawła. Filary Kościoła. Naszego Kościoła. Jezusowego Kościoła. W jakiej przestrzeni przyszło im mówić i świadczyć o Jezusie? Jaka to była przestrzeń patrząc z punktu widzenia religijnego? Jaka była z perspektywy kulturowej? Jaka była w strukturze społecznej? Pozostańmy w tych trzech obszarach – choć można by spojrzenie poszerzyć.

Nie mam dobrych wiadomości dla tych, którzy dziś biadolą, że Kościół w naszych czasach musi działać w środowisku niereligijnym, w przestrzeni kultury materialistycznej (cokolwiek by to miało znaczyć) i społeczeństwie bezpodmiotowym i sterowanym. To owe trzy osie, które na wstępie wspomniałem. Biadolą i wskazują na konkretne owoce tego rozmijania się świata i Kościoła. Pustoszeją kościoły – to prawda. Jest coraz mniej powołań kapłańskich i zakonnych – to też prawda. Morale znaczącej części duchownych jest zgoła nie-duchowne, skażone materializmem i seksualizmem. To też widać wyraźnie. Jedno z fundamentalnych zadań chrześcijan – czyli wieloraka służba, jest w sporej mierze fasadowym frazesem.

Tak, to wszystko boli i mogę rozumieć biadolących, sam nieraz sobie ponarzekać na to i owo. Ale przecież świat trzeba brać takim jakim jest. To do tego świata, do takiego świata ludzi i ich obyczaju posłani zostali tamci – Piotr, Paweł i pozostali. Posłani z gołymi rękami, bez środków materialnych, bez wiedzy socjologicznej, bez przygotowania logistycznego, bez zaplecza organizacyjnego. W wielu miejscach nawet bez znajomości języka. Piotr i Paweł – ale i cała reszta apostołów. A tym, którzy szli po nich, tylko w niewielkiej mierze było łatwiej. Mijały setki lat, już nie bezpośredni świadkowie Jezusa i ewangelii szli. Ciągle do ludu obcego, ciągle do świata, który ich nie rozumiał. Oni tego świata też nie rozumieli. Wiedzieli jedno – że nie idą z własnymi pomysłami i że nie są sami. „Ja jestem z wami aż do końca świata” – powiedział kiedyś Jezus, obietnica trwała z pokolenia na pokolenie.

Po tysiącu z górą lat Europa wypełniła się ogromnymi, wspaniałymi katedrami, także ludnymi opactwami tętniącymi życiem nie tylko religijnym. Czy dlatego łatwiej było głosić ewangelię, że opactwa i katedry ozdabiały ziemię Europy? Czy może na odwrót – dlatego, że głoszona od wieków ewangelia wydawała owoce wiary i jako jej owoc powstawały katedry i zaludniały się opactwa? Złe postawienie sprawy. Bo wszystko było toczącym się, historycznym procesem. To, co dziś było skutkiem, po upływie czasu stawało się przyczyną. Owoc stawał się nasieniem, ono zaś dojrzałe, w następnym pokoleniu stawało się owocem.

Ten proces miał okresy intensywnego rozwoju wiary i budził oddźwięk w społecznym życiu narodów. Na takiej właśnie fali powstały uniwersytety. Inna fala przyniosła pomnożenie liczby zakonów i potrzebnych im klasztorów. Ciągle powracała fala społecznej pomocy – szpitale (to słowo miało inne znaczenie niż dzisiaj), ochronki, leprozoria, jadalnie. Falą dramatyczną były wojny – a znaczącym ich źródłem były powody odmienności wiary. Na to nakładały się wojny najbardziej niszczące świat – krucjaty.

I tu pytanie: czy ten cały, falujący wiarą a równocześnie grzechem i nienawiścią świat stanowił dobre, zdrowe i owocne środowisko dla życia religijnego? Bynajmniej. W wielu aspektach był nawet zaprzeczeniem, a co najmniej wykoślawieniem owego życia. Ilu chrześcijan zginęło męczeńską śmiercią – jedni z rąk tych, drudzy z rąk innych szalonych ludzi. Takim przykładem jest chociażby św. Joanna d'Arc – spalona wyrokiem kościelnego sądu w roku 1431. Po 24 latach papież dokonał rewizji procesu, cóż z tego... Sprawy polityczne, sądy kościelne, wszystko razem straszne. Czy w takim świecie – zewnętrznie religijnym i chrześcijańskim – łatwo było służyć całej prawdzie Jezusowej ewangelii? Czy to, że wszystko było przesiąknięte hasłami religijnymi, zasługiwało na miano świata chrześcijańskiego?

W katedrach i opackich kościołach miejsca było wiele, a i to nieraz go brakowało. W tych samych kościołach miejsca teraz coraz więcej, bo mieszkańcy Europy od kościołów stronią coraz bardziej. Może nam, głosicielom ewangelii, wyjść z kościołów trzeba i iść tam, gdzie na Jezusa czekają? Bo czekają – wiem o tym z doświadczenia. Jak Paweł pójść nad rzekę, a gdy pora – także na Areopag. Lub jak Piotr zaproszony do domu w Cezarei. Albo Filip, który dosiadł się do wozu etiopskiego dostojnika.

Nie mają racji ci, co to biadolą, że Kościół musi działać w środowisku niereligijnym, w przestrzeni kultury materialistycznej i społeczeństwie bezpodmiotowym i sterowanym. Lista tych opór budzących utrudnień jest dłuższa, pozostawmy przy felietonowym skrócie. Moje pokolenie już niewiele potrafi wymyślić nowego. Ale... ale może nie trzeba niczego wymyślać, tylko przestać biadolić i walczyć z mniemanymi wrogami, a otworzyć szeroko oczy, serce, wiarę na obecność nie programów i metod (choć gardzić nimi nie należy), ale na obecność Jezusa żyjącego w swoim ludzie. Czyli w Kościele.

Nie jest to najtrafniejsze słowo, bo może sugerować skojarzenia z całą strukturą osobową, prawną, administracyjną, materialną. A Kościół jest przede wszystkim ludem Bożym. Wiele spraw w Kościele się odmieniło – tak w perspektywie wieków, jak i współczesności. Wszystko było i jest toczącym się, historycznym procesem. To, co było skutkiem, z czasem staje się przyczyną. Owoc staje się nasieniem, dojrzałe nasienie w następnym pokoleniu znowu owocem. Stara teologiczna reguła, o której trzeba pamiętać, brzmi: *Ecclesia semper reformanda*, co znaczy: Kościół wciąż powinien się odnawiać. I to jest istota przestrzeni Kościoła. A pustawe ławki w kościele? Nie o to chodzi.